



Chwalcie!...

Po całym świecie chwalcie Jehowę
Wielcy i mali,
Co stworzył noce i blaski dniowe
Na niebie pali!
Pełna jest ziemia mądrości Jego,
Mocy i siły...
On karmi żywych — a umarłego
Wskrzesza z mogiły...
On jest Szafarzem dla całej ziemi
I Ojcem świata,
Zaś nad czynami prawa ludzkiemi
Jego zapłata!
Kędy bieleją grody kwitnące
I w sadach wioski,
Chwalcie jaśniejszy nad złote słońce
Majestat Boski!

Al. Dąbrowski.

„Orędownik“ — a Spółki.

Od pewnego czasu toczy się na łamach pism naszych ożywiona polemika w sprawie obchodzącej żywo nasze społeczeństwo, — w sprawie Spółek. Polemika ta dziś wkroczyła w granice, które niepozwalają nam dłużej ociągać się z zabraniem głosu w tej tak żywotnej, a mimo to tak drażliwej sprawie.

Jak wiadomo, Bank Związku Spółek Zarobkowych wypuszcza nową emisyę akcyi, aby w ten sposób podwyższyć swój kapitał zakładowy o pół miliona. Do nabywania akcyi Banku, a tem samem do lokowania kapitałów swych w przedsiębiorstwach Banku Związku Spółek otrzymały z miarodawczej strony zachętę Spółki.

Ani sam fakt, że jakieś towarzystwo akcyjne — w danym razie Bank Związku — podwyższa swój kapitał, ani też fakt, że Spółki, jako spółki *polskie* zawezwane zostały do przyczynienia się do wzrostu i rozszerzenia zakresu działania polskiego towarzystwa akcyjnego, nie jest czemś nienaturalnem, lub czemś nowem. Dodać należy, że suma, o jaką chodzi, jakkolwiek w całości znaczna, w stosunku do kapitałów, któremi Spółki rozporządzają, nie wkracza w zakres zasobów, któremi Spółki rozporządzać nie mogą bez nadmiernego obciążania siebie; owszem, suma ta jest nawet daleko niższą od tej, którą by Spółki dać mogły bez jakiegokolwiek narażania się, gdyby tego było trzeba.

Jednakowoż systematyczna agitacya na łamach „Orędownika“ sprawie tej zupełnie inny nadała charakter, „Orędownik bowiem w niezliczonym szeregu artykułów, których wspólną cechą było wywoływanie wrażenia, że zaledwie dziesiątą część prawdy wypowiadają, przedstawił sprawę tak, jak gdyby każdy szeląg, który z kas Spółek przejdzie do kasy Banku Związku Spółek był na wieki stracony.

Ta myśl przewodnia, że Spółki rzucają w przepaść pieniądze swe, jeśli nabędą akcye Banku Związku, rozwałkowana została w najróżnorodniejszy sposób w artykułach „Orędownika“ a zawsze tak, aby czytelnik mógł sądzić, że redakcya nie chce całej prawdy wypowiedzieć, że się lęka, aby ta prawda nie była zbyt groźną i przygnębiającą. Dyskretnie, w półcieniu, niedomówionemi słówkami, aluzyami ukrytemi, a jednak dość wyraźnemi, aby je każdy zrozumiał, a dość giętkiemi, aby ich się w razie potrzeby można było wyprzeć, „Orędownik“ wywołał w naszem społeczeństwie istotnie pewne nieokreślone obawy, wywołał ostrą dyskusyę i polemikę, ku czemu bronią wygodną mu było operowanie wiadomościami o przekształceniu fabryki H. Cegielski na towarzystwo akcyjne z równoczesnem zestawieniem tego faktu z podwyższeniem kapitału zakładowego Banku Związku.

Jesteśmy zwolennikami jasności i prawdy, — tak jak „Orędownik“ jest zwolennikiem półcieniów i niedomówień i dlatego sądzimy, że omawiając tę sprawę jak najjaśniej najlepiej się społeczeństwu i sprawie przysłużymy.

„Orędownik“ wiążąc w pewien przyczynowy związek przekształcenie fabryki H. Cegielskiego na towarzystwo akcyjne z podwyższeniem kapitałów Banku Związku, tak manewruje argumentami, aby wywołać wrażenie, że Bank Związku zaangażował się w fabryce Cegielskiego, tak jak Szczepanowski w Galicyi, w nafcie a teraz aby się ratować udaje się do Spółek po pieniądze; jeśli je Spółki dadzą, — powiada „Orędownik“ — stracą je, tak jak Kasa oszczędności w Galicyi.

Przyjrzyjmy się nieco tej logice. Przedewszystkiem zwrócić uwagę należy na to, na co już we wstępie zwróciliśmy, że sumy, o które chodzi, w stosunku *do tego, co Spółki dać mogą*, są nieznaczne. Nikt też nie namawia Spółek biednych, aby ponad swe siły angażowały się przez kupowanie akcyi; jeśli zaś Spółki bogate, które setkami tysięcy obracają, nabędą po jednej akcyi — to im w żadnym razie zaszkodzić nie może, bo nie „uwiężą“ kapitałów, któreby na ich budżecie zaważyć mogły. A przecież w sprawach finansowych kwestya *możności* jest zawsze miarodajna.

Jest to osądzenie sprawy ze stanowiska interesu Spółek.

Lecz przyjrzyjmy się tej sprawie ze stanowiska społecznego. Ujrzymy wtedy całą sumę, która, zdaniem „Orędownika“, byłaby „straconą“. Pieniądze Spółek są poniekąd groszem publicznym, są one dorobkiem, ciężkim dorobkiem naszego społeczeństwa, i nietylko już tej sumy, ale i jednego tysiąca, jednej stumarkówki narazić nie wolno. Interes publiczny nakazuje szczególniejszą rozwagę. Prawda, że poszczególne Spółki, gdyby co straciły, nie zachwiałoby to ich bytem, ale niemniej ogół, społeczeństwo składaćby się musiało na pokrycie tej straty. Powtarzamy, interes publiczny nakazuje ostrożność.

Ale też w imię tego interesu publicznego, w imię obywatelskiego obowiązku zwracamy się do „Orędownika“ z zapytaniem: Cóż to są za powody faktyczne, dla których miałyby Spółki, miałoby społeczeństwo obawiać się o kapitały powierzone Bankowi Związku? Kto ma odwagę półsłówkami i rzucanemi tu i owdzie domyślnikami twierdzić, że w Banku Związku źle się dzieje — niech się zdobędzie na odwagę i wystąpi publicznie z całą, nagą prawdą. *Interes kraju, obowiązek obywatelski tego wymaga.* Czytaliśmy w „Orędowniku“ artykuły na temat tej sprawy Spółek, napełnione porównaniami do wypadków galicyjskich, spotkaliśmy nawet nazwisko Zimy.

Wiemy, jaką rolę odegrał Zima, ale nie wiemy co daje prawo pismu, które wciąż o obywatelskiem poczuciu prawi, do robienia takich aluzyi. Jeśli jest pożar, dlaczegóż go nie gasić? Jeśli „Orędownik“ ma jakieś faktyczne dane do rzucania cienia na ludzi, którym społeczeństwo ufa, dlaczegóż *w jednym, rzetelnym, uczciwym, polskim i śmiałym artykule nie wypowie, co wie?* Dlaczego? Dlaczego w szeregu faryzeuszowskich artykułów, za które nikt do odpowiedzialności go pociągnąć nie może, *każe się wszystkiego domyślać, a niczego nie dowodzi?*

Jesteśmy, jak „Orędownik“ pismem ludowem, nieskojarzonem żadnemi węzłami, z osobistościami przeciw którym „Orędownik“ walczy, ale wyrzec tu musimy otwarcie, że brak nam słowa dla scharakteryzowania taktyki, której się on trzyma.

Czegóż bowiem ta taktyka dowodzi? Dowodzi, że *faktycznych danych, że rzeczowych podstaw* „Orędownik“ do tego, co pisze, niema. Gdzie zatem szukać przyczyn jego postępowania? Oto w dwóch pobocznych i prywatnych źródłach: jednem z tych źródeł jest niechęć do Spółek, zwłaszcza do ich kierownika ks. Wawrzyniaka; — drugiem niechęć do dyrektora Banku Związku dr. Kuszteiana.

Walka z patronatem Spółek nikogo dziś już na łamach „Orędownika“ nie dziwi, tak jest dawna, — a zawsze w niej ponosił porażki „Orędownik.“ Co do dr. Kusztalena, to przypominamy sobie, jak w zeszłym roku przed pewnem zebraniem zapewniał ktoś i odgrażał się po mieście, że na zebraniu „zmiażdży Kusztelana“ i przedłoży dowody, które go w oczach opinii publicznej uczynią niemożliwym na stanowisku dyrektora Banku.

I cóż się stało? Oto ów *ktoś* na zebraniu się wcale nie pokazał, a gdy go potem pytam: „No jakże z owemi dowodami“ — odrzekł: „Nie mogłem przyjść, bo teściowa przyjechała.“

Moi panowie! Gdy walka przeciw instytucyom publicznym, przynosząca nieobliczoną szkodę społeczeństwu z tak niskich, bo prywatnych wynika pobudek, tam brak wyrazu na napiętnowanie jej. Żądamy prawdy, żądamy dowodów i mamy prawo ich żądać. A dopóki ich nie ujrzymy, dopóki „Orędownik“ trzymać się będzie systemu owego ktosia, co pokątnie rozsiewał złe wieści, a gdy miał je umotywować, zastawiał się teściową, — dopóty to wszystko, co pisze „Orędownik“

uważać będziemy za wynik prywaty, nieszlachetnej — niegodnej, bo prywaty, która sprawie publicznej szkodę przynosi!

Vester.

Niepoprawni.

Niechętnie posądzamy w sprawach publicznych tych, którzy przeciwne o danej materyi wypowiadają zdanie — o złą wolę, o pobudki osobiste, poziome; a jednak śledząc pilnie polemikę, jaka się wywiązała w sprawie *Banku Spółek zarobkowych* w codziennej naszej prasie, nie możemy się pozbyć podejrzenia, bardzo przykrego podejrzenia, że tym, którzy tę polemikę rozpoczęli i wywołali, chodziło nie tyle o dobro tej instytucyi lub o dobro naszych Spółek, ile o dogodzenie osobistym ambicyjkom, niechęciom, a może i widokom osobistej korzyści. Podejrzenie to ciężkie — przyznajemy to chętnie, i radzibyśmy nie wypowiadać go wcale; — cóż, kiedy mimo najszczerszej woli i chęci pozbyć się go nie możemy.

Napróżno też szukamy dostatecznego *rzeczowego* powodu do alarmu, jakim „Orędownik“ i jego adherenci zaniepokoili społeczeństwo nasze. O cóż bowiem chodzi? Otóż jedynie o to, że „Bank Związku Spółek Zarobkowych“ — który ma być centralną kasą dla regulowania podaży i zapotrzebowania kredytu między Spółkami — nabył pewną ilość akcyi fabryki *H. Cegielskiego*, zamienionej na Spółkę akcyjną. Przypadło to właśnie w czasie, w którym Spółki nasze, *w myśl uchwał ostatnich sejmików*, miały rozebrać drugą emisyę akcyi Banku celem pomnożenia jego kapitału zakładowego i obrotowego. Więc nagle uderzono w wielki dzwon alarmu: Niech Spółki nie ważą się wziąść chociażby jednej nowej akcyi, gdyż Bank spekuluje i napewno zaprzepaści cały kapitał akcyjny — a więc pieniądze Spółek!! I w dzwon ten bito dopóty, dopóki przerażona publiczność nie zaczęła wołać: Cóż się dzieje? Czyż rzeczywiście grozi nam nowa katastrofa na wzór lwowskiej Kasy Oszczędności? Inicyatorom tego alarmu nie dość zaś było, że sami ciągnęli za dzwony; snać nie dowierzali siłom własnym, więc zawezwali do pomocy aż 12 adwokatów, aby ci poparli ich ostrzeżenia swą powagą prawniczą.

Z tych dwunastu usłuchało wezwania wprawdzie tylko 4 — ale ponieważ są między nimi zkądinąd ludzie wybitni i nie bez zasługi — ubolewać trzeba bardzo, że się ich chociaż czterech pozwoliło użyć, a raczej nadużyć do.... gaszenia ognia, który ani nie wybuchł jeszcze, ani wogóle wybuchem i szkodą *nie grozi*. Ten fakt właśnie uważamy za arcybolesny w tej całej sprawie, dowodzi bowiem, żeśmy zawsze jeszcze pod wielu względami.... niepoprawni!

Lecz przejdźmy do rzeczy samej. O cóż chodzi? Sprawę pomnożenia kapitału akcyjnego „Banku Związku Spółek“ roztrząsano jasno, obszernie i wyraźnie — jeżeli nas pamięć nie zawodzi na 2 czy 3 *sejmikach*, a więc na posiedzeniach *najwyższej* instancyi Spółek naszych. Wywodzono tam od stołu patronatu bardzo zrozumiale, że „Bank Związku“ musi mieć znaczniejszy kapitał, jeśli ma sprostać zadaniu swemu, zaspokoić wszelkie żądania wzmagających się coraz bardziej Spółek naszych, tem bardziej, że nasz Związek z kredytu w kasie Centralnej *pruskiej* właściwie dla rozmaitych warunków korzystać nie może i skazany jest wyłącznie na *pomoc własną*. Akcye te — ponieważ Bank Związku pięknie się rozwija i corocznie dodatnią płaci dywidendę — łatwo się rozeszły między kapitalistami prywatnymi — lecz temu właśnie należy zapobiedz. Jeżeli Bank Związku ma w pierwszym rzędzie służyć Spółkom, to też Spółki powinny posiadać większe części akcyi, bo tylko w ten sposób mogą wywierać wpływ należyty na czynności i rozwój Banku w myśl własnego interesu. Nikomu atoli ani na myśl nie przyszło żądać, aby Bank unikał także prywatnych interesów to jest interesów finansowych z prywatnemi osobami lub przedsiębiorstwami. Każdemu, kto tylko jakie takie ma pojęcie o interesach bankowych, jasnem przecież jest, że bez takich prywatnych interesów Bank nie mógłby wybić na czysto tyle ile potrzeba do opłacenia administracyi; Spółki bowiem żądają od składanych w Banku depozytów znacznych procentów — a znów kredytu po nizkiej stopie procentowej. Zkąd zaś wziąść pieniądze na dywidendę od akcyi? To też na *sejmiku Spółek* zgodzono się ochotnie na propozycyą Patronatu tak co do podwyższenia kapitału akcyjnego, jak i co do rozebrania akcyi przez Spółki, a bynajmniej nie zabroniono równocześnie Bankowi robić interesów z prywatną klientelą, względnie zasilać prywatne przedsiębiorstwa kredytem.

W myśl też tej jedynie racyonalnej praktyki wziął Bank udział w utworzeniu Spółki fabryki *H. Cegielskiego*, nabył odpowiednią ilość akcyi i dopomógł wprowadzić w ruch nową Spółkę przez dostarczenie odpowiedniego kapitału. Interesu tego byłby się podjął — jak to mówią: „z ucałowaniem ręki“ — każdy bank niemiecki i żydowski, gdyż przy sumiennem i trzeźwem obliczeniu pewności i szans, dalej przy należytem zagwarantowaniu tej pewności ryzyko jest nieomal zupełnie wykluczone. A że rada nadzorcza Banku i Kurator jego zapewne nie omieszkali dopełnić wszelkich warunków bezpieczeństwa w tej sprawie, że sumiennie i uczciwie zabezpieczyli się przeciwko ewentualnym stratom, zatem przemawiają już.... nazwiska członków rady nadzorczej i Kuratora, ludzi, o których wiemy, że piastują urzędy swe nie dla parady, lecz że bardzo sumiennie pojmują swe obowiązki względem społeczeństwa. Poza tem — kapitał utkwiony w tem przedsiębiorstwie — jest w porównaniu do kapitału akcyjnego Banku, a zwłaszcza do funduszu rezerwowego naszych Spółek stosunkowo tak *małym*, że gdyby nawet część jego wbrew wszelkim ludzkim obliczeniom przepaść miała — jeszczeby przez to żadna z Spółek-akcyonaryuszek nie zatrzęsła się w swych podstawach. Zupełnie zaś bez ryzyka nie ma dziś *interesu żadnego*. Przecież każda Spółka z osobna ryzykuje także, wypożyczając pieniądze; i najlepszy bowiem żyrant w końcu zawieść może.

Tak tedy wszystko było w porządku i społeczeństwo cieszyło się, że najstarsza większa fabryka polska ma zapewniony dalszy rozwój — daj Boże! pomyślniejszy. Aż tu naraz „Orędownik“ rozpoczyna ów alarm, w ślad za nim występuje kilka mniejszych organów, pojawia się deklaracya owych czterech adwokatów, — no i wali się prawdziwa powódź plotek, podejrzeń i oszczerczych zarzutów — *naturalnie ku niezmiernej radości naszych najserdeczniejszych!*

Jak to sobie wytłomaczyć? Otóż po tem, cośmy powyżej po-

wiedzieli, po bardzo treściwem wyjaśnieniu dyrektora Banku p. *Dr. Kusztelana* i oświadczeniu rady nadzorczej Banku, jedynie i wyłącznie tem, że chodzi tu tylko o *dokuczenie*, o *zdyskredytowanie* osób, stojących na czele naszych Spółek i *Banku Związku*. Innego wytłomaczenia znaleźć nie można, zwłaszcza, że jeszcze ani jednej z obiegających plotek udowodnić *nie zdołano*. Przyczyną alarmu było więc chyba wyłącznie to, że się poplecznikom „Orędownika“ nie podoba ani ks. *Prałat Wawrzyniak*, ani p. *Dr. Kusztelan*, że pragnęliby mężów tych zepchnąć z ich wpływowych stanowisk i albo sami je zająć, albo oddać je w ręce osobom sobie milszym. Innego wytłomaczenia znaleźć nie można. Nieszczęście zaś chciało, że i pan *Cegielski*, któremu przez tę transakcyą odjęto osobistą troskę o fabrykę, należy do osób, znienawidzonych w obozie „Orędownika.“ To jeszcze pogorszyło ich humor. Zapominają oni o tem, że gdy chodzi o dalszy byt i rozwój tak wielkiego polskiego przedsiębiorstwa, Banki nasze są po prostu *moralnie zobowiązane pomagać kapitałem* — o ile na to pozwala własny ich interes, gdyż publiczność polska nie po to składa w Bankach i Spółkach pieniądz swój, aby tam pleśniał bez procentu, lecz aby jej zysk przynosił, aby stał się strumieniem ożywczym dla naszego handlu, naszego przemysłu, naszego rolnictwa. Nie każdy też członek stworzony jest na przemysłowca. Pan *Cegielski* na innem polu położył tak znaczne zasługi około społeczeństwa naszego, tak wytrawnym jest rzecznikiem w innych sprawach, że cieszyć się należało, iż przez zamianę fabryki na przedsiębiorstwo akcyjne, będzie miał ręce wolne i odtąd wyłącznie już poświęcić się będzie mógł sprawom publicznym.

Że przeciwnicy jego tego zadowolenia ogółu nie pojmują, nie można się dziwić; woleliby oni może, ażeby fabryka była upadła i pan Cegielski wraz z nią utracił możność dalszego zajmowania się sprawami publicznemi. Są przecież ludzie, którzy byle dogodzić nienawiści stronniczej i osobistej najmniejszego względu nie biorą na sprawę publiczną. Sprawdziło się to i w tym wypadku! Wolno im było się irytować, ale *nie wolno* było narażać dla tej irytacyi własnej na szwank tak poważnej instytucyi, nie wolno było podkopywać **bez powodu** zaufania do niej!!

Najsmutniejszem atoli w tej sprawie jest to, że te bezpodstawne głosy alarmujące i poczęści wprost *oszczercze* nie minęły bez odgłosu, że przeciwnie znalazły posłuch *w wielu Spółkach!* Coraz częściej bowiem czytać można o uchwałach, że ta lub owa Spółka akcyi nowych nie nabędzie.

Jakiż to wprost *upokarzający dla nas objaw zupełnego braku zmysłu krytycznego i własnego wyrobionego zdania*, u wielu osób, zajmujących stanowiska naczelne w Spółkach!

Dla panów tych nic nie znaczą uchwały *najwyższej* władzy, sejmików, nic nie znaczą oświadczenia imienne ludzi poważnych i znanych z doświadczenia na tem polu i oględności; wystarcza dla nich lada wrzask, zręcznie szerzona plotka, aby dziś uznać za czarne to, co jeszcze wczoraj uznano za białe! Jakże się to zgadza z bezustannemi deklamacyami o potrzebie wytworzenia wielkiego przemysłu u nas, o gromadzeniu kapitałów w Bankach na popieranie tego przemysłu, wreszcie z innemi tego rodzaju głosami, projektami i radami? Dość, gdy ktoś zawoła „hejże na Soplicę!“ — a zaraz bezkrytyczna masa huknie echem „hejże na niego!“ Czyż to nie smutne, nie bolesne, nie wprost *zawstydzające?* Czyż to nie dowodzi, żęśmy w sprawach finansowo-ekonomicznych zawsze jeszcze bardzo niedojrzałymi, nowicyuszami? Jakże śmiać się z nas muszą Niemcy i żydzi, że tak sami podkopujemy i rozbijamy siły, które nas zbawić mają?

Co do nas więc, to wołamy: Nie dajcie się zbałamucić, miejcie więcej zaufania do własnego zdania, niż do wrzasku, który nosi na sobie wyraźne piętno złości i zawiści!

Niechże *Spółki* dalej kupują, spokojnie akcye Banku Związku a przysłużą się *sprawie naszej* i własnym interesom! *(ski).*

Nie bądźmy Beocyą!

III.

(Dokończenie.)

Wykazaliśmy w dwóch poprzednich artykułach, że rzeczywiście życie umysłowe w naszych warstwach wyższych i średnich nie jest takie, jakiem być powinno, że poniekąd — sądząc tylko po tych dwóch warstwach, zasługiwalibyśmy na miano *Beocyi;* w końcu zaś artykułu drugiego wskazaliśmy na to, że rehabilituje nas od tego zarzutu — nasz stan trzeci, *lud* nasz. I rzeczywiście każdy to przyznać musi, kto się zbliska przyjrzał stosunkom naszym. Lud nasz garnie się do książki, do oświaty — jak żaden inny, posiada też już stopień oświaty — jakim nie może się poszczycić ani Królestwo — ani Galicya. Królestwu co prawda nic zarzucić nie wolno pod tym względem; oświata ludu nie zależy tam bowiem od dobrej woli społeczeństwa, lecz wyłącznie od łaski wszechpotężnego rządu. Galicya atoli mogłaby już stać na równi z nami, a właściwie mogłaby nas już przewyższyć pod względem oświaty ludu. Przecież już od lat 30 z okładem posiada samorząd zupełny; od lat 30 ma szkoły w swojem ręku, więc już nie jedno, ale kilka pokoleń mogła była wychować i wykształcić należnie. Nie będziemy się tu dziś zagłębiali w przyczyny niespełnienia tego ważnego zadania, bo by to nas odwiodło za daleko od właściwego założenia artykułów naszych. Przyznajemy, że na ten niepomyślny objaw w Galicyi złożyły się także przyczyny, niezależne od społeczeństwa polskiego tamże. W każdym atoli razie wolno nam z całą dumą uwydatnić i wykazać, że nasz zabór w tym kierunku zdziałał *najwięcej* dotychczas.

Zasługuje to na tem większe uznanie, że stosunki szkolne tu u nas nawet trudniejsze, niż w Królestwie. Szkoła u nas nie tylko nie kształci dziatwy polskiej w polskim duchu, ale wprost stara się ubić tego ducha, zniechęcić dziatwę do wszystkiego co polskie, udaremnić wszelkie odnośne usiłowania rodziców i przyjaciół dziatwy. A mimo to jakże pięknemi poszczycić się możemy rezultatami!

Weźmy np. piśmiennictwo czasowe czyli peryodyczne. Opowiadał nam pewien dziennikarz galicyjski, dobry znawca stosunków tamtejszych, niedawno, że jeźli wszystkie polskie pisma ludowe w Galicyi liczą abonentów 10,000 — to już liczba *bardzo wysoka.* Galicya liczy ludności *polskiej* tyle mniej więcej, co zabór pruski, przeszło 3 miliony. U nas w zaborze pruskim mamy kilka pism, z których każde z osobna liczy tyle, a nawet więcej prenumeratorów, wszystkie zaś razem — *tylko* ludowe — reprezentują pokaźną cyfrę przeszło 70,000 abonentów!! Podobnie ma się rzecz z książkami ludowemi. O takich nakładach, po 5000 i 10,000 egzemplarzy dziełek ludowych — jakie u nas należą do częstych, niemal zwykłych, wydawcy galicyjscy i w Królestwie ani marzyć nie

mogą. Nie wiem, czy to prawda, ale mówiono mi, że nawet z popularnych wydawnictw galicyjskich — np. „Macierzy“ i Oświaty“ rozchodzi się niemal *połowa w naszym* zaborze!

Że oświata ludu jest u nas tak wysoką i szeroką, to wyłącznie zasługa naszych warstw *wyższych*. I być może, że ten właśnie moment może posłużyć za *uniewinnienie*, a conajmniej za wytłomaczenie upadku tak zw. *wyższego* ruchu umysłowego w naszym zaborze. Społeczeństwo nasze, czuwając tak pilnie nad tem, ażeby *cały ogół* był uświadomiony narodowo i posiadał narodową oświatę, absorbuje wszelkie swe siły w tym właśnie kierunku, tak że zaniedbuje nieraz własne duchowe potrzeby.

Tak tedy, rozdzielając światła i cienie porówno, możemy śmiało powiedzieć o sobie: Grzeszymy pod jednym względem, ale grzech ten nagradzamy sowicie pod innym względem. Przyznając się do winy — mamy też prawo żądać, aby ci, którzy nam zarzucają, że jesteśmy „Beocyą“ — nie zapominali i o tem, co zdziałaliśmy dobrego i zbawiennego wobec przyszłości!

X.

„Rok 1848.“

Upłynęło już lat piećdziesiąt od czasu, gdy lud wielkopolski za broń pochwycił, aby nią poprzeć żądanie spełnienia zaciągniętych przez królów pruskich przyrzeczeń względem pruskiego zaboru. Pięćdziesiąt lat już minęło od czasu, gdy lud ten dał chlubne dowody męstwa na polach Miłosławia i Sokołowa, w ogniu Książa. Są jeszcze wśród nas ludzie, którzy naocznymi świadkami byli tych wypadków, — którzy zbierali laury zwycięztwa wśród ognia armat pruskich, a potem widzieli, jak wiernych synów świętej sprawy piętnowano piekielnym kamieniem, jak zbójów...

Wypadki 1848go roku w Poznańskiem zasługują na to, aby je uratować przed niepamięcią, a jednak prócz pisanych świeżo pod wrażeniem ich dzieł Moraczewskiego, Koźmiana i szeregu broszurek, poczęści polemicznych, nie mamy książki, przystępnie a ściśle i wszechstronnie opisującej te wypadki. To, co napisali współcześni, nie obejmuje całości, lecz przeważnie dotyczy epizodów; wyborne dziełko Moraczewskiego należy do bibliograficznych rzadkości; wreszcie z pewnej perspektywy dziejowej inaczej przedstawiają się wypadki ówczesne nam niż współczesnym.

Te okoliczności, jakoteż przekonanie, że zarówno w żywem podaniu, jak w listach i dokumentach z owej epoki dużo jest materyału historycznego, który wraz z schodzącem do grobu pokoleniem na zawsze zaginie, jeśli się go przed niepamięcią nie uratuje, spowodowały mnie do rozpoczęcia pracy nad wypadkami 1848go r. w Poznańskiem.

Szczęśliwy traf złożył w moje ręce szereg cennych aktów i dokumentów dotychczas nieznanych; Towarzystwo Wydawnicze we Lwowie podjęło się nakładu książki, którą piszę. Odwołuję się do społeczeństwa naszego, do wszystkich ludzi dobrej woli, którzy posiadają jakiekolwiek dokumenty, notatki, pamiętniki, pisma ulotne, manifesty, fotografie i t. d. z owych czasów, aby mi pomocy swej nie odmówili i od niepamięci niejeden cenny szczegół uratowali, nadsyłając mi cały ten materyał historyczny, jak niemniej kreśląc z pamięci wypadki, których byli świadkami.

Dla kogo dokumenty takie i t. d. stanowią pamiątkę rodzinną, ten niechaj sobie zwrot ich u mnie zastrzeże.
Ponieważ w księgach kościelnych t. zw. komunikantów znajdują się rozmaite notatki i opisy zaszłych w danej miejscowości wypadków w owych czasach, zwracam na to łaskawą uwagę osób, któreby mi swej pomocy użyczyć chciały.

Wszelkie choćby napozór najdrobniejsze wiadomości przyjmę z wdzięcznością. Aby na przykładzie wykazać, jak obszernem jest pole, co do którego pożądane są informacye, i że *każdy* miałby możność przyczynienia się do zamierzonego przedsięwzięcia, podaję kilka pytań:

1. Do jakiego obozu (po zawarciu konwencyi Jarosławieckiej) włączone zostało wojsko z obozu z nad Wełny, które pod dowództwem Floryana Dąbrowskiego dnia 9go kwietnia stanęło w Mieściskach?

2. Jakie (i ile) wojska polskie były w Buku, Grodzisku? kto je formował i dokąd je wcielono?

3. Dane co do działalności Charles Didier'a, który 9go kwietnia przybył do Poznania jako wysłannik rządu francuzkiego.

4. Jaki udział w wypadkach brał książę Adam Czartoryski, który 8go kwietnia stanął w Poznaniu?

5. Kiedy i przez kogo zamówiona została broń w Anglii i kiedy w drodze do Poznania przez władze pruskie wykrytą i skonfiskowaną została?

Przy opracowywaniu tych kwestyi tysiączne nasuwają się pytania, na które przy pomocy ludzi dobrej woli odpowiedź by się znaleść mogła — ku pożytkowi sprawy.

Wszelkie przesyłki adresować należy:
Szanowne Towarzystwo Wydawnicze. Lwów. Lemberg (Oesterreich) ulica Pełczyńska nr. 1.

Pisma proszę uprzejmie o powtórzenie niniejszego.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z pamiętnych chwil. *)

V.

Konwencya Jarosławiecka była właściwie „zawieszeniem broni“, jak trafnie ją nazwał Mierosławski. Spoczywała ona na tak kruchych podstawach, że mało brakowało do tego, aby zupełnie unicestwioną została, zanim jeszcze nawet wykonywać ją zaczęto.

Pomimo solennego przyrzeczenia danego Willisenowi, że wojsko pruskie Polaków przed 11tym kwietnia atakować nie będzie, Colomb tak powydawał rozporządzenia, że w Trzemesznie dnia 10 kwietnia Prusacy zaatakowali miasto. Stał tam oddział majora Słubickiego, składający się ze 156 strzelców, 200 ludzi piechoty uzbrojonej w kosy, 48 ułanów oraz 104 kawalerzystów bez koni i piechoty bez kos.

Prusacy napadli równocześnie z dwóch stron, od strony Mogilna i od strony Gniezna. Drogę wiodącą do Trzemeszna w przewidywaniu ataku zabarykadowali Polacy zapomocą wozów, których całe szeregi w poprzek drogi ustawione, stanowiły poważną przeszkodę dla ataków kawaleryi. Dowodzący oddziałem niemieckim pułkownik Herrmann podjechał do barykad i wezwał powstańców do poddania się, grożąc opornym sądem. W odpowiedzi na to świsnęły kulki z dubeltówek i jeździec spadł z konia, trafionego w piersi. Podniósłszy się z ziemi, pułkownik powrócił do swoich i poprowadził do ataku.

Polacy nie dali się rozpędzić. Nie zdołali jednak utrzymać barykad i walka przeniosła się na ulice miasta.

Chcąc przyjść z pomocą Prusakom żydzi z tyłu zaczęli strzelać na Polaków, których położenie zaczęło się wskutek tego stawać coraz niebezpieczniejsze. Od porażki uchronił Polaków jedynie rozkaz komendanta pruskiego, któremu w czasie walki nadesłano rozkaz natychmiastowego zawieszenia boju. Prusacy się cofnęli.

Zaczepka w Trzemesznie najgorsze skutki wywołała. Nieuorganizowane hufce polskie wzięły ją za zdradę, i wtedy poraz pierwszy dopuściły się nadużyć. We wściekłości na żydów za to, że podczas bitwy Prusakom pomogli, rzucili się ochotnicy polscy na domy żydowskie w Trzemesznie, i w niegodziwy sposób obeszli się z żydami. Kilku z nich zabito lub poraniono.

Był to odwet za to, że żydzi podczas boju ofiarowywali rannym gościnę w swych domach, aby ich dobijać.

Z zupełnie innych powodów nastąpiło zajście w Kórniku w sam dzień za-

*) Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.

warcia konwencyi. Wywołał ją na własną rękę były członek komitetu Krauthofer-Krotowski. Z zawodu prawnik był on jednym z tych, którzy najczynniej przygotowywali wypadki 20 Marca, a wysłany jako członek deputacyi do Berlina, on jeden — a Palacz drugi protestowali przeciw złamaniu instrukcyi przez deputacyę. Potem, wziąwszy od komitetu pełnomocnictwo na działanie w Berlinie, starał się u króla i ministrów popchnąć naprzód sprawę reorganizacyi Księstwa. Widząc, że nie dojdzie do żadnych rezultatów, powrócił do Poznania a słysząc, że wojska pruskie zagrażają Środzie, na własną rękę zebrał oddzialik z paruset ludzi złożony i zaczął się bawić w partyzantkę, choć z razu sam się ze strzelbą nie umiał obchodzić.

Zdarzyło się otóż, że 11 kwietnia właśnie gdy Krotowski ze swymi partyzantami przebywał w Kórniku, zajechał do Kórnika oficer z kilku huzarami w celu przygotowania kwater dla wojska. Krotowski huzarów z oficerami otacza i bierze do niewoli, gdy mu jednak szepnął jakiś mieszczanin, że pełno żołnierzy pod Kórnikiem, Krotowski swych jeńców wypuścił, a w chwilę potem przez parlamentarzy został wezwany celem układów do pułkownika pruskiego. Jako dobry prawnik zawarł Krotowski układ, mocą którego zapewnił sobie i swemu oddziałowi udanie się z bronią w ręku do Środy.

Te zajścia w Kurniku i w Trzemesznie pruska władza wojskowa zaczęła nazywać zerwaniem konwencyi. Willisen jednak zerwaniu istotnemu zapobiegł.

Wiadomość o zawarciu ugody Jarosławieckiej nie była przyjęta przychylnie przez obozy.

Jak przy jej zawieraniu, tak i przy jej wykonaniu niewyraźnym okazał się Mierosławski; nosił się on bowiem z myślą tworzenia po za obozem stałych rezerw nadliczbowych, tak, aby tylko na oko było 720 żołnierzy pod bronią, w istocie zaś dwa a nawet trzy razy tyle. Mierosławski sądził, że na mocy umowy będzie miał czas pod nosem Prusaków w ten sposób wymustrować swe kadry, nie puściwszy ani jednego żołnierza do domu.

Po zawarciu ugody najprzód w Środzie, na posiedzeniu komitetu powiatowego, wobec licznie zgromadzonej szlachty, mieszczan i oficerów obozowych, Libelt wyłuszczył treść układów z Prusakami. Zaczęto głośno krzyczeć, że delegaci zaprzedali sprawę. Wtedy zabrał głos Mierosławski i wyłuszczył swe zapatrywanie, motywując zgodę swą na zawarcie ugody i ogólnem położeniem politycznem i tem wreszcie, że w rezerwach można będzie mieć w pogotowiu nadliczbowych żołnierzy. Powoli uśmierzyły się umysły. Gorzej jednak było z prostym ludem, który z kolei powiadomić musiano. Libelt w Towarzystwie Mierosławskiego i Brzeżańskiego ze łzami w oczach zaczął ugodę omawiać, zaznaczając, że wstrzymała ona daremny rozlew krwi. Na to odezwał się jeden głos: zdrada! i szereg kos ostrzem się zwróciło przeciw mówcy. Dopiero Essmann, ksiądz Kegel ze Środy i Mierosławski połączonemi siłami zdołali wyrwać Libelta z niebezpieczeństwa.

Chcąc spełnić do końca podjętą misyę pojechał Libelt ze Środy do obozu Garczyńskiego i stanął we Wrześni nazajutrz po zawarciu ugody t. j. 12 Kwietnia. Towarzyszył mu w tej podróży Słomczewski, członek komitetu.

Garczyński powiadomiony przez Libelta, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności wobec swoich żołnierzy, zwołał oficerów piechoty i kawaleryi i rzecz im całą wyłuszczył. Powstał jeden krzyk oburzenia. Lecz wreszcie przeważyło zdanie: niech Garczyński jako dowódca, decyduje, czy obóz wrzesiński konwencyę przyjmie, czy odrzuci.

Garczyński oświadczył, że przyjmuje, zawiadomił pułkownika Brandta, że nadliczbowych rozpuści, a Libelt pojechał dalej.

Tymczasem ferment, wywołany wiedzą o przyjęciu ugody, coraz bardziej rozluźniać zaczynał wszelką karność wojskową w obozie Garczyńskiego. To pojedyńczo, to po kilku, przychodziła do Garczyńskiego szlachta oświadczając, że opuszcza szeregi. „Nie mamy tu co robić“ — taki był ogólny głos — „gdyż zaciągając się pod chorągiew narodową chcieliśmy walczyć o niepodległość, a o służbę w dywizyi polskiej pod komendą pruskiego jenerała wcale nam nie chodzi.“

Dr. K. Rakowski.

Z TYGODNIA.

Były minister dla Galicyi, Floryan Ziemiałkowski umarł w Wiedniu 27 z. m. o godzinie 12 i pół w południe.

Z nim schodzi do grobu jeden z niewielu twórców konstytucyi austryackiej. Udział jego w tej sprawie był niemal decydujący.

Urodzony w roku 1817 w Berezowicy, ukończył wydział prawa w uniwersytecie lwowskim. W r. 1840 uwięziony pod zarzutem zdrady stanu i na śmierć skazany został. Ułaskawiony, w r. 1848 wybrany został posłem do parlamentu. W roku 1860 został posłem na sejm. W r. 1863 za udział w powstaniu na 3 lata twierdzy skazany został. W roku 1865 zastępował miasto Lwów i Drohobycz w sejmie, a w marcu 1867 dostał się do Rady państwa, gdzie piastował godność wiceprezydenta Izby.

W roku 1871 przeciw Smolce kandydował na prezydenta miasta Lwowa. Smolka przeszedł nieznaczną liczbą głosów i nie przyjął wyboru, a wtedy wybrano Ziemiałkowskiego.

W r. 1873 został ministrem dla Galicyi, i był nim do r. 1888. Został potem mianowany członkiem Izby panów i usunął się zupełnie w zacisze życia prywatnego. Dom Ziemiałkowskiego we Wiedniu stał się odtąd głównym punktem zbierania się kolonii polskiej.

We Lwowie z powodu śmierci Ziemiałkowskiego z gmachu Wydziału krajowego, z ratusza i innych gmachów publicznych wywieszono czarne chorągwie. Na posiedzeniu Rady miejskiej prezydent miasta poświęcił wspomnienie pośmiertne Ziemiałkowskiemu, jako jednemu z prezydentów miasta Lwowa. Portret jego, zawieszony w sali obrad Rady miejskiej, pokryto kirem. Rada miejska Lwowa wybrała deputacyą na pogrzeb.

(Obszerniejszą nekrologię podamy w jednym z następnych numerów — Przyp. Redakcyi.)

Apetyt panów konserwatystów na ziemię naszą wzmaga się niesłychanie. Znany p. Zedlitz występuje w „*Post*“ z projektem, aby działalność komisyi kolonizacyjnej rozszerzono i aby w tym celu przeznaczono miljard, wyraźnie miljard! marek (czyli tysiąc miljonów.) Pan Zedlitz rozumuje, że toby kosztowało kasę państwową „tylko“ 20 miljonów rocznie przez kilkadziesiąt lat. Pisząc o tym projekcie nawet niemieckie wolnomyślne gazety zaznaczają, że w tym całym projekcie chodzi panom konserwatystom o wzrost ceny na majątki ziemskie. Panowie ci zasmakowali w podwyższeniu ceny, jaką sprowadziła komisya kolonizacyjna i radziby majątek swój na koszt państwa powiększyć. Tymczasem niedość, że nie myślą o podwyższeniu zarobku polskich robotników rolnych, których pracą całe ich gospodarstwo stoi, ale nawet radziby ich ze względów politycznych wogóle nie puścić przez granicę, a zastąpić Włochami lub Chińczykami, byle tylko nie Polacy przychodzili do „ich“ kraju. To też utrudnienia wszelkiego rodzaju podczas pobytu czynią prawdziwym czyścem pracę naszym biednym wychodźcom.

Smutnem to jest, że lud nasz wogóle musi opuszczać kraj rodzinny. Ruch emigracyjny, zwłaszcza z Galicyi, zwiększa się niestety. Jak obecnie donoszą z Krakowa, liczba przejeżdżających wynosi po-

nad 2 tysiące dziennie. W ciągu marca wyjechało przeszło 25 tysięcy ludu roboczego — na zarobek do Prus. Dzieją się przytem liczne oszustwa popełniane przez niesumiennych agentów. Kwestya wychodźtwa tak paląca u nas, jest też dla całego cesarstwa niemieckiego nader ważną, brak robotnika bowiem zwiększać się będzie niewątpliwie wraz z wzrostem podatków, a do wzrastania podatków rząd się przyczynia tak dalece, jak gdyby sobie przedsięwziął wytworzenie trudnych warunków życia. Oto projekty flotowe, które rząd chce przeprowadzić całą forsą, nieskończenie powiększą podatki. Dlatego też opozycya przeciw tym projektom obecnie silnie się wzmaga.

Nawet partya narodowo liberalna zaleca przygotowywać się do rozwiązania parlamentu, rząd bowiem uwikłał się nietylko w projekcie flotowym, ale i w projekcie kanałowym. O ile pierwszy tylko z pomocą konserwatystów przeprowadzić może, o tyle drugi wbrew ich woli przeprowadzić by musiał. W ten sposób konserwatyści są panami placu boju.

„Kölnische Ztg.“ pisze o sytuacyi: Nic dziwnego, że w tych warunkach trudno przewidzieć co się stanie z tą całą flotą. Rzeczywisty i sztuczny zapał dla projektów flotowych znacznie się zmniejszył, bo trzeźwość i rozwaga nakazuje liczenie się z siłami. Gdyby parlament ustawę znacznie okroił, pisze „Köln. Ztg., — rząd powinien się na to zgodzić, bo mógłby nic nie otrzymać. Kto wie, jak mogłoby się skończyć rozpisanie wyborów do parlamentu.

Tymczasem rząd niema jakoś chęci do jasnego postawienia sprawy, a pan Miquel, którego lisiej przebiegłości ufają przyjaciele rządu w tej sytuacyi arcyprzykrej — zamknął się w domu i powiada, że jest chory. Choroba ta bardzo w porę mu się zjawiła. Więc w parlamencie hr. Bülow sili się na przekonywujące dowody, że flota jest potrzebna w zdwojonej wielkości. Dowody te łatwo mu nie przychodzą, bo jako kierownik polityki zagranicznej musi się z tem liczyć, aby przecież o stosunkach z mocarstwami tylko dobrze mówić i zapewniać, że pokój jest trwały — to po jakiegoż licha powiększenie floty? — Trzeba się liczyć z możliwością, że ktoś mógłby Niemcy obrazić, powiada pan Bülow. Bardzo chroma to dowodzenie....

W Pretoryi, w Transwaalu panuje żałoba, nietylko z powodu zwycięztw Anglików, ale z powodu nagłej śmierci naczelnego wodza boerskiego, generała Jouberta. Obecnie Boerowie nie mają wodzów, bo Cronje wzięty do niewoli, a Joubert umarł. Obaj prezydenci wydali wspólną odezwę do ludności pobudzając ją do broni. Podobno Boerowie licznie przybywają do obozów, aby zasilić szeregi walczących. Wśród wojska objawia się coraz zacieklejszy duch oporu.

Interwencyi w sprawie anglo-boerskiej Rosya się nie podjęła. K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Zwracają uwagę zaproszenia do przedpłaty, jakie pojawiły się z powodu końca kwartału w naszych pismach ludowych. Znać u nich powagę chwili — odbija się w nich troska o przyszłość i praca nad pomyślniejszem ukształtowaniem naszych stosunków; nad tem zaś góruje przekonanie, że lud nasz z zapasów z germanizacyą wyjdzie zwycięsko.

„Dziennik Slązki“ tak się odzywa do swych czytelników:

„Ciężkie czasy przechodzi obecnie lud czyli naród polski. Przeciwnicy wszędzie wyzyskują każdą sposobność, żeby go gnębić i uciskać.

„Ze szkół wykluczono prawie język ojczysty i zaprowadzono obcy nam język i obcy sposób nauczania. W życiu publicznem narzucono nam również ten język obcy i zatarto, o ile możności, ślad mowy naszej, tej drogiej nam spuścizny po ojcach naszych.

„Zawziętość niektórych doszła nawet tak daleko, że się zawiązali w towarzystwo, znane pod nazwą hakatystów, które ma za cel wspólnemi siłami zwalczać nas i podburzać przeciw objawom życia polskiego, żeby módz zwyciężyć lud polski. Wobec tego wszystkiego mamy milczeć i założyć ręce za pas i stać bezczynnymi? Potrzeba nam wspólnego porozumienia się, oświaty i wspólnego działania.

„To zaś osięgniemy przez czytanie polskich katolickich gazet, które są organizacyą, połączeniem wszystkich czytających, za pomocą których wszyscy razem pracować powinni. Jedną z takich gazet, zastósowaną do wszelkich potrzeb ludu polskiego na Górnym Slązku, jest „Dziennik Slązki“. Co tylko korzystnem być może dla ludu naszego, wszystko — o ile może — „Dziennik Slązki“ ogłasza i stara się o to, jak i gdzie pracowaćby można, żeby był chleb i dobrobyt.

„Bardzo wielu jest jeszcze takich, którzy żadnej gazety polskiej nie czytują, i nie dbają wcale o to, co się w koło nich dzieje. Tak być nie powinno, bo obowiązkiem każdego człowieka jest praca, nie tylko materyalna, ale i umysłowa“.

Obudzenie się życia narodowego na Górnym Sląsku niemało zgryzot przyczynia hakatystom. To też złość ich w pierwszej linii kieruje się na dziennikarstwo polskie jako krzewiciela idei narodowej, a zaciekłość ich jest jednakową wobec pism polskich w Poznańskiem, czy na G. Śląsku, czy na obczyźnie. Nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby zaciekłość swą hahatyści chcieli posunąć aż do przedłożenia jakiegokolwiek projektu praw wyjątkowych dla pism polskich. Wobec tego ważnem jest, aby właśnie teraz, póki konstytucya nakłada ich agitacyi przeciw nam wędzidło, jaknajwięcej przystępowało nowych czytelników. W Prusach Zachodnich, jak stwierdza **„Gazeta Grudziądzka“**, powiększa się liczba czytających ogromnie:

„Dzięki Waszym staraniom, kochani Bracia Wiarusy, wzrosła więc liczba abonentów do 13,217. Znaczy to, że jedna „Gazeta Grudziądzka“ zdołała w 5-ciu latach pracy nad ludem obudzić przynajmniej 12 tysięcy wiarusów, którzy dawniej spali głębokim snem obojętności, do obrony naszych najświętszych skarbów, któremi są Wiara św. i mowa ojczysta. Nic dziwnego, że wobec tego polakożercy pruscy truchleją i w piekielnej złości napadają na gazety polskie, w których wiedzą, że one najskuteczniej budzą ducha polskiego między ludem i krzewią wśród niego miłość do mowy ojczystej i do wszystkiego co polskie. Polakożercy truchleją, gdy widzą, jak oświata, oparta na fundamencie Wiary św., niczem nie powstrzymana, w zwycięzkim pochodzie kroczy od chaty do chaty i budzi te masy ludu polskiego, które dotąd w życiu narodowem prawie żadnego nie brały udziału. Włosy im się jeżą na głowie na myśl, że ten przez nich jako głupi okrzyczany lud polski, cały może zostać rozbudzony przez oświatę, i że wtenczas stanie się taką potęgą, że choćby polakożercy się sprzysięgli z mocami piekielnemi, nigdy, przenigdy go nie oderwią ani od Wiary św. ani od mowy ojczystej.“

Z naszej strony dodajemy, że gazeta polska jest dla ludu polskiego źródłem, z którego płynie oświata większa niż ze szkół, bo na narodowych oparta podstawach z duchem narodu zgodna. Do tej oświaty garnąć się lud powinien. Z ludem ciemnym łatwo sobie dadzą radę hakatyści, ale nie podołają ludowi oświeconemu i dlatego ich tak przeraża, że lud nasz polskie gazety czyta.

Szereg interesujących feljetonów umieścił niedawno **„Dziennik Poznański“**. Dotyczą one życia młodzieży polskiej w Wiedniu, Berlinie i Paryżu. Zwłaszcza o młodzieży przebywającej w Paryżu ciekawe dane podaje autor. Ograniczamy się do przytoczenia najciekawszych szczegółów.

„Ktokolwiek chciałby według życia młodzieży polskiej w Paryżu sądzić o przeszłości polskiego narodu, ten do bardzo pocieszających może dojść wniosków. Przedstawia się ono bowiem w znacznie korzystniejszem świetle, aniżeli życie Polaków w Wiedniu lub Berlinie. Naturalnie nie można mieć zanadto wielkich wymagań i trzeba liczyć się ze stosunkami, jakie panują w tak olbrzymiem mieście jak Paryż. Malkontenci — gdzieżby zresztą ich nie było? — niechaj wejrzą w głąb swojej duszy i przyznają się, czy sami spełniają swój obowiązek przykładając cegiełkę do wspólnego gmachu narodowego, czy sami nie usuwają się od życia społecznego i politycznego, albo co gorzej, czy mu nie przeszkadzają przez swoje niegodne usposobienie lub chęć wynoszenia się ponad innych? Trzeba jednakże przyznać, że tych ujemnych żywiołów Paryż posiada bardzo mało, natomiast gości w jego murach wielu Polaków zacnych, dzielnych, pracowitych. Nie widziałem nigdzie młodzieży polskiej tak ruchliwej i tak pracującej, jak w Paryżu. Jeżeli Brandes ma

słuszność twierdząc, że przyszłość będzie należała do najlepszego pracownika, możemy w tę przyszłość patrzeć z otuchą. Poszczególnych jednostek, które nic nie robią, tylko przybywają do Paryża, aby roztrwonić ten krwawo przez ojców zapracowany grosz polski, nie można wcale brać w rachubę: byli oni i będą zawsze, a z dumą powiedzieć możemy, że jest ich coraz mniej. Natomiast iluż mamy tutaj młodych ludzi silnych, energicznych, którzy z minimalnemi prawie zasobami pieniężnemi dobijają się wytrwale przyszłości! jakie szlachetne zasady! jaki postęp w pojęciach!

Młodzież polska w Paryżu nie składa się, jak w Berlinie lub w Wiedniu, z młodych początkujących studentów, lecz przeważnie z ludzi dojrzałych, ukończonych, którzy przybywają tu dla specyalizowania się w różnych gałęziach wiedzy i sztuki. Przytem kształci się w Paryżu dość pokaźna liczba kobiet, nieraz już z tytułem doktorskim, które biorą czynny udział w tutejszem życiu społecznem. Nakoniec wielce korzystnym i sympatyczym jest fakt, że mieszkające w Paryżu rodziny polskie łączą się z młodzieżą i nieraz należą z nią do tych samych towarzystw. Wszystkie te okoliczności wyróżniają znacznie młodzież polską w Paryżu od berlińskiej i wiedeńskiej."

Ostatni zarzut — zrobiony młodzieży berlińskiej — nie wydaje się nam słusznym. Młodzież ta bez wad oczywiście nie jest, właśnie ona jednak korzystnie wyróżnia się wśród innych pracą w towarzystwach polskich.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Paderborn, w marcu.

Szanowna Redakcyo!

Przyjaciel mój w Kolonii, nadsyła mi co tydzień „Pracę" do czytania, gdyż sam jestem w tych warunkach, że z powodu wyższego zakazu pism polskich abonować nie mogę. Chcę otóż w kilku słowach donieść, abyście drodzy rodacy nie sądzili, że my Polacy na obczyźnie w głębi Niemiec nie czujemy na sobie dłoni Hakaty! Potrafiła się ona wcisnąć i tu, i tak się ulokowała jak w swojem gnieździe tam nawet, gdzieby najmniej jej przystało — mianowicie wśród katolików niemieckich i to nawet wśród niemieckiego duchowieństwa. W tutejszem *Collegium Leoninum* władza duchowna zakazała czytać Polakom „Wiarusa polskiego!" Ciekawa rzecz, czy dalej można posunąć ograniczanie obywatelskiej wolności! To tępienie narodowości i uczuć polskich wręcz przeciwny wywołuje skutek, wywołuje oburzenie przeciwko tym, którzy je w złem zrozumieniu swych obowiązków sieją.

Władze duchowne niemieckie powinny na obczyźnie z nami Polakami postępować z podwójną łagodnością i wyrozumiałością, bo cóż Polak wyniósł ze sobą z kraju, jeśli nie tę trochę przywiązania do swej narodowości i poszanowania do swej wiary. Jeśli jednak u niemieckich władz duchownych zamiast na serdeczną przyjaźń trafi na podejrzliwość i chęć germanizowania, to się oburzy i bronić będzie swej narodowości, wspominać ze czcią swoje polskie duchowieństwo, a odstręczy się od duchowieństwa na obczyźnie. Tą drogą niejeden trafił do socyalistów i niechajby tylko sobie rozważyli ci, co tak postępują, jakie są skutki ich dążności, toby się z pewnością przelękli.

Kochana „Praco!" Skoro masz przeszło 10,000 abonentów, więc też i głos twój jest silny. A może te słowa trafią do kogo należy... Co daj Boże, Amen.

Wierny abonent
N. N.

* * *

Chełmża, (Prusy Zachodnie) w marcu.

Szanowna Redakcyo!

Jestem już od założenia kochanej naszej „Pracy" wiernym jej czytelnikiem, i czytuję z wielką przyjemnością wiele listów, które przyjaciele do „Pracy" nadsyłają, a każdy ma się na coś użalić, lub wyznać co go boli, bo każde dziecko, jak mu się krzywda dzieje, biegnie do matki: tak samo i lud polski do pism polskich się zwraca. I ja, kochana Praco, chcę kwestyę poruszyć, która mnie niemało boli, a to jest rozwój towarzystwa polskiego w Chełmży.

Mój Boże! Tyle się mówi o popieraniu towarzystw, ale niestety jakoś w Chełmży na naszem towarzystwie tego wcale nie znać. Nasze polskie przemysłowe towarzystwo pozbawione jest zupełnie współdziałania starszej inteligencyi i ledwie wegetuje. Niejeden mi to już mówił, że przychodziłby chętnie na posiedzenia, gdyby miał tam sposobność spotkać kilka starszych osób. Z panów doktorów, budowniczych, kupców tutajszych żaden nie należy do towarzystwa. A gdyby choć raz w miesiącu zaszedł do nas i jakąś pogadankę wygłosił, już inaczejby kwitło towarzystwo. Więc proszę Was, panowie! Macie czas odbywać odczyty w niemieckich towarzystwach, dajcież i naszemu polskiemu to, co mu się należy! Radzi Was posłuchamy.

Z szacunkiem
J. Jarzembowski,

(Przyp. Red. Co do loteryi — to my tabeli wygranych nie umieszczamy i umieszczać nie będziemy. Uważamy loteryę za szkodliwy hazard, który z biednego ludu polskiego tysiące rok rocznie wyciska i do demoralizującego dzieła ręki nie przyłożymy. Sądzimy nawet, że mianowicie te pisma, które największą reklamę robiły towarzystwu antihazardowemu powinnyby się w imię idei wyrzec podawania tabeli wygranych. Nasz naród dość już przegrał — czas pracować, a nie odgrywać się.)

W palmową niedzielę.

W wiejskim kościołku organ gra,
Rozgłośnie dzwony biją...
Srebrzystych dymów lekkie mgły
W blaskach się słońca wiją.

A przed ołtarzem — czy to las,
Las świeży i zielony,
Przyszedł i klęknął pośród nas,
I schylił swe korony?

A przed ołtarzem — czy to szum,
Szum cichy a radosny,
Kiedy: „Hosanna"! śpiewa bór,
A wiatr w nim rusza sosny?

Nie! Nie zielony to jest las,
Co swe gałązki ściele,
Ale z palmami przyszedł lud
W kwietniową tę niedzielę.



Nie! To nie boru słychać szum,
Gdy wiatr się po nim słania,
Ale modlitwy cichej szmer,
I szepty, i wzdychania.

I rzuca słońce złoty blask
Na czarne drzewa krzyża;
A Chrystus z niego smętną twarz
Ku ziemi słodko zniża.

I patrzy, patrzy na nas tak
Żałośnie a łaskawie,
Jak gdyby mówił: „Ludu mój,
Ja ciebie błogosławię!"

I wyszedł naród w szumach palm,
Poważny a radosny,
I poniósł do swych nizkich chat
Tę błogą zieleń wiosny.

I poniósł w piersi słońca blask,
I głośne dzwonów bicie,
I jakąś wielką, cichą pieśń,
I jakieś inne życie!

Marya Konopnicka.

Wielki Tydzień w Rzymie.

Zbliżają się upragnione przez cały świat chrześcijański dni, w których pogrążona w zadumę ludzkość pamiątkę Odkupienia rozpamiętywa i modlitwę przed Tron Najwyższy w pokorze i skrusze zanosi.

Wielki Tydzień upływa wszystkim na skupieniu ducha i na manifestacyi uczuć religijnych; nigdzie jednak uroczystości wielkotygodniowe nie odznaczają się taką wspaniałością i efektownością, jak w Rzymie. Nic w tem dziwnego: Rzym to przecież stolica piękna i powagi, otoczona aureolą całego szeregu wieków, które jej długi żywot zapełniają niezli-

czonemi objawami bohaterstwa, które sprowadzają natchnienie wiary, dzięki dziełom architektury, malarstwa, rzeźby, dzięki nieśmiertelnym imionom Michała Anioła, Rafaela, Bramanta, aż do Canovy.... Geniusz Wiecznego Miasta usposabia do takich uroczystości i nastraja ducha ludzkiego i w górę na skrzydłach swoich go dźwiga.

Tłum na ulicy, od niedzieli Palmowej począwszy, oddycha jedną już tylko myślą spędzenia całego tygodnia w oddawaniu się zupełnem nastrojowi, jaki powszechnie tu zapanuje. Ludzie prości i inteligentni cieszą się z tego wiosennego święta i kupując palmy, pozdrawiają się serdecznemi słowy.

Rozdawanie palm jest chwilą bardzo uroczystą. Palmy te pochodzą z San Remo i w olbrzymiej masie są rozwożone po całych Włoszech.

Kiedy się odbywa ceremonia poświęcenia palm w bazylice św. Piotra, rusza procesya symboliczna, którą prowadzi duchowieństwo, wyglądające w pochodzie tym majestatycznie, poważnie i malowniczo zarazem. Dźwięki cudnej muzyki rozlewają się i na skrzydłach pieśni unoszą myśl ludzką. Kardynał arcypasterz, odziany w białą kapę, złotem tkaną, postępuje naprzód.

Wszyscy trzymają w rękach gałązkę palmową.

Śpiewają pieśń tryumfalną, która o sklepienia starożytnej świątyni się odbija i razem z gorącemi westchnieniami płynie w górę ku niebu..

Procesya wychodzi z bazyliki, kiedy zaś powraca, zastaje bramę świątyni zamkniętą. Wówczas wpośród pobożnych rozlega się głuchy, stłumiony odgłos prośby czy skargi, mający być wyrazem współudziału przyrody w owej chwili, gdy Bóg-Człowiek ostatnie swe wydawał tchnienie.

Skoro procesya powróci już do wnętrza kościoła, z po za ołtarza wydobywać się zaczynają harmonijne, choć smutne tony „Miserere.“ Głosy są prześliczne. Chór sykstyński, pod dyrekcyą sławnego Mustafy, śpiewa przepysznie „Skargi Jeremiego“, to dzieło nieporównane w namiętnych swych akcentach bólu, w okrzykach cierpienia i rzewnem uczuciu, jakiem drżą wszystkie tony tej modlitwy zbolałej duszy człowieka.

„Miserere“ napisane przez Allegri'ego, odznacza się powagą smutku i głębokim, do serca przemawiającym nastrojem. Twórca wlał w tę pieśń cały ogrom niewymownej tęsknoty.

W całym świecie katolickim Wielki Czwartek jest dniem najbardziej wzruszającym, bo na myśl przywodzi wspomnienia najdroższe; w Rzymie jednak obchodzą pamiętną tę chwilę bardzo uroczyście. Przed rokiem 1870-ym okazałość dnia tego o ileż była wspanialszą jeszcze!

Ojciec Święty, po wstępnych modłach, podnosi ręce do góry, jakby chciał Nieba błagać o miłosierdzie, potem prawą rękę opuszcza powoli na dół — i na tłumy klęczące spływa błogosławieństwo:

Et benedictio Dei omnipotentis, Patris et Filii et Spiritus Sancti, descendat super vos et maneat semper!

Słowa te wstrząsają, wnikając w serce, aż w samą głąb jego.

Przepyszną ceremonię stanowi również tak zwane *Lavanda*, następująca zaraz po błogosławieństwie. Ojciec św. przystępuje do obmycia nóg trzynastu pielgrzymom, wybranym z pomiędzy księży i dyakonów różnych narodowości i wyobrażającym grono Apostołów. Tak się staje się „sługą sług Bożych“ z własnej woli ten, kto królom daje do pocałowania nogę, kto przewodniczy dwustu milionom najoświeceńszych wyznawców religii katolickiej.

W Wielki Czwartek odbywa się również *lavanda* wielkiego ołtarza; obrząd ten, ściągający liczne tłumy, odbywa się za pomocą wina i wody, przypominając krew i wodę, które płynęły z boku Zbawiciela na krzyżu.

Piękny widok wywiera moment, w którym kardynał dotyka głów pokutniczych i udziela odpustu. W pyle się korząc, ze schylonemi na dół czołami, przyjmują pobożni tę łaskę, napełniającą ich duszę niewysłowionem szczęściem.

Nie tylko u św. Piotra odbywają się te imponujące powagą, majestatem i pięknością obchody; w kościele pod wezwaniem *Gesu* święcą pamiątkę „trzech godzin konania“ Zbawiciela świata. Świątynia ta należy do najwspanialszych i największych, jakie się wogóle gdziekolwiek znajdują. W kościele tym jest kaplica św. Ignacego Lojoli, założyciela zakonu, do którego bazylika należy. Bogate marmury, bronzy, złocenia — wszystko składa się na nieopisane wrażenie, jakie ołtarz św. Ignacego wywiera. Olbrzymich rozmiarów kula ziemska z *lapis lazzuli* spoczywa tu, jakby się oddając pod opiekę Świętego.

Dzień Wielkiego Piątku jest przeznaczony z rana w bazylice św. Piotra na ceremonię wystawienia Relikwii św.

Cisza zalega wtedy kościół, umilkły już bowiem tony „Miserere“, tylko westchnienia i szept modlitewny akompaniują temu nastrojowi świętości.

Noc zapada... Świątynię zapełnia zmrok, linie jej nabierają wyrazu nieograniczonego smutku — cały kościół tonie w objęciach żałoby i wydaje się wielkim, wspaniałym grobem. Lampy pogaszone — dokoła zapanowują najzupełniejsze ciemności.

Trwa to niedługo... Słychać u góry jakiś szelest, uchylają się na jednym z krużganków drzwi i na balkonie św. Weroniki ukazuje się prałat w asyście, wystawiający Relikwie święte. Oczy wszystkich pobożnych podnoszą się w górę, usta szepcą modlitwę.

Jednocześnie prawie w kościele św. Jana Lateraneńskiego odbywa się poświęcenie Olejów świętych. Prześliczny to kościół i wysoko przez wszystkich czczony. Widzimy na nim napis:

Sacrosancta Lateranensis Ecclesia, omnium Urbis et orbis ecclesiarum mater et caput. Każdy Ojciec św. jest *ipso facto* biskupem kościoła św. Jana Lateraneńskiego.

Podczas Wielkiego Tygodnia odwiedzają wierni również „święte schody“, na których stoją posągi marmurowe, wyobrażające Pana Jezusa u Piłata i pocałunek Judasza. *Scala sancta* posiada dwadzieścia kilka stopni z marmuru tyryjskiego, niegdyś użytego przy budowie świątyni Salomona.

Z jakiemiż uczuciami pokory i wiary po tych schodach świętych zstępują tłumy i gorącemi usty składają na zimnych marmurach pocałowania miłości!...

Na zakończenie Wielkiego Tygodnia w dzień Wielkiejnocy, Ojciec św. odprawia Mszę św. Dawniej odbywało się to nabożeństwo w bazylice św. Piotra; obecnie jednak odprawia się Msza Papiezka wewnątrz Watykanu; w kościele św. Piotra zastępuje Ojca św. kardynał-arcypasterz.

Żeby uczestniczyć w nabożeństwie tem i być przytomnym podczas Mszy św., trzeba uzyskać specyalne zaproszenie. Ceremonia rozpoczyna się o godzinie 8-ej rano. Dwóch prałatów służy do Mszy św.

Leon XIII-ty odprawia Mszę Wielkanocną ze szczególniejszą żarliwością... Na twarzy Ojca św. maluje się rozrzewnienie, radość i ta niewysłowiona błogość, jaką w duszy ludzkiej rozlewa Anioł Pokoju, gdy żywot swój człowiek Bogu i służbie Bożej z poświęceniem bez granic wyłącznie i na zawsze oddaje...

T. T.

Wielki Piątek.

W ciemność się wielką niebo obleka,
Ziemia drży cała, w wnętrzu jej gromy,
A na powierzchnię skał złomy
Z trzaskiem się walą.

Głuchy grzmot płynie — wolno, zdaleka,
Górą go wichry niosą z przestworza,
A rozłupane dno morza
Pian kipi falą.

W spękanej ziemi otwartem łonie,
Kędy kość ludzka w grobach się bieli,



I oto jestem i czekam bez trwogi,
Aby krzyż objąć krwawemi ramiony,
Aby ulecieć w promiennych gwiazd drogi!
I oto jestem męczeństwa spragniony
I tego grobu, z którego w dzień trzeci
Świat zmartwychwstania po nad ziemią wzleci.

Z śmiertelnej wstają pościeli
Prorocy ludu!

Gdy błyskawicą firmament płonie,
Oni w jaskrawym widnieją blasku,
Z pod garści mokrego piasku,
Wskrześli dla cudu.

Jerozolimo! Słowo żywota
Wydałaś sama w drogę Kalwaryi...
A teraz! Teraz Syn Maryi
Sromotnie kona!

Patrz! Tu opodal wzgórze Golgota,
Trupich głów miejsce i miejsce kaźni,
Tu wznieśli sądów doraźni
Hańby znamiona.

I tu na krzyżu, w konania męce,
Zelżony Chrystus wpośród gawiedzi
Ostatniej łotra spowiedzi
Litośnie słucha.

Cudami słynne rozpostarł ręce,
A krwawe krople płyną mu z czoła...
Opuszczon — „Boże mój!“ woła
W tęskności ducha.

To chwila zgonu! Pan skłoni głowę
I wszystkie walki jestestwa miną,
Bo czas się trzecią godziną
Z południa znaczy.

Na niebie kiry powstają nowe
I jakaś trwoga rzeszą kołysze,
Wrzaski zapadły się w ciszę,
Wstał lęk rozpaczy.

A Chrystus: „Pragnę!“ wymówił jeszcze
I podniósł oczy, zalane łzami,
I tak się modlił za nami
Ukrzyżowany.

Ziemię śmiertelne przebiegły dreszcze,
A świat się cały zachwiał w posadzie:

Bóg! życie za ludy kładzie!
On! Pan nad pany!

On Król! w cierniowej skonał koronie
I wisiał cicho bez tchu i mowy,
Jako ofiara Jehowy
Na przebłaganie.

U widnokręgu, w zachodniej stronie
Powstają światła wieczornych zorzy,
W nich krzyż — a na nim Syn Boży
Swiatu zostanie.

I został odtąd w czasy wieczyste
Ów Krzyż Męczeństwa, co nas przygarnie,
Co w jedną złączy owczarnię
Rozpierzchłe syny.

O! bądź uwielbion, Jezu nasz Chryste!
Za męki Twojej krwawą ofiarę!
Za miłość! za naszą wiarę!
Za śmierć bez winy!

Marya Brożyna.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

II.

W chwili kiedy na nowo nawiązujemy przerwany wywiezieniem rotmistrza wątek naszej powieści, w pałacu Łaszczynieckim odbywały się dwie, wprost przeciwnej natury konferencye.

Markiz de Ketteler w „sali przodków“ przyjmował kapitana sprawnika, znanego nam już Pawła Onufryjewicza von Flidersa, pan Artur w swoim gabinecie zamknięty był i rozmawiał po cichu z jakimś nieznanym ani nam ani jemu młodzieńcem, który przybywszy nie wymienił swego nazwiska, ale za okazaniem jakiegoś tajemniczego pisma, na niewielkiej skreślonego karteczce, przyjęty został z największemi honorami, przez byłego kamerjunkra.

Zajrzyjmy najprzód do p. Markiza. „Przed siwą głową wstań“ — powiedział Salomon. Powieściopisarz powinien dać pierwszeństwo rodzicowi przed synem.

Moskale cywilni w owym czasie mieli cokolwiek duszę na ramieniu, co się i wojskowym przytrafiło czasami. Objawiało się to w ich postępowaniu, które zawsze jakąś nienaturalnością trąciło. Kiedy mógł się srożyć i wymyślać, Moskal w owej epoce srożył się i wymyślał bardziej niż zwykle. Obok zwykłego prostactwa i korzystania z przewagi, było w tem widać zawsze trochę nadrabiania miną. Gdzie zaś trzeba było być uprzejmym i łagodnym, tam taki czyno-nik jak Fliders rozpływał się po prostu w słodycz, aż się miło człowiekowi robiło. Gdy się gniewał, pamiętał o tem, że powinien gniewem swoim nastraszyć, a kiedy chciał ująć i ugłaskać to aż się płaszczył.

Markiz nie miał najmniejszej czarnej kreski u rządu, należało dlań być uprzejmym, Paweł Onufryjewicz o tem pamiętał..

Powszechne podówczas pomiędzy czynownikami zatrwożenie wyryło się na nim w niektórych zewnętrznych oznakach. Długi i chudy zawsze, teraz zdawał się jeszcze dłuższym i jeszcze chudszym, oczy jeszcze bardziej unikające obcych spojrzeń niż zazwyczaj, jeszcze niespokojniej biegały, wyraźnie jakby niemi śledził, czy zkąd jego osobie niebezpieczeństwo nie zagraża, a niezwykłych rozmiarów uszy, gdyby kto je śledził uważnie, to byłby spostrzegł, że odbywały ruchy końskim organom słuchu właściwe, strzygły niby i zwracały się to w tę, to w ową stronę, ażeby łatwo schwycić każdy szelest, któryby mógł ostrzegać o zbliżaniu się jakiego buntowczyka uzbrojonego rewolwerem lub wieszającego żandarma....

Na twarzy kapitana-sprawnika gościł zastygły uśmiech słodszy niż półfunta karmelków z najpierwszej kamienieckiej cukierni.

Markiz, jako dygnitarz powiatowy, pewny swej lojalności i zaufania, jakie w nim miał kapitan-sprawnik, traktował go poufale i bawił się z nim w patryotę.

Była to dyplomacya z jego strony. Gdyby pomiędzy jego służbą był ktoś należący do ruchu i gdyby słyszał jego rozmowę z czynownikiem, musiałby mu oddać świadectwo, że o łaskę Moskali nie dba, i że im prawdę w oczy rznie ani pyta.

— Tak, tak, sprawniku, — mówił Markiz — gnębiliście nas, trapili, obdzieraliście nas ze skóry, teraz przyszła i na was kreska. Nosił wilk owce, poniosą wilka. Jeżeli sobie sami nie damy rady to nam przyjdą w pomoc Francuzi.

— Daleka droga, panie Markiz.

— A koleje żelazne nic nie znaczą?...

— Hm! żelazne koleje — bezmyślnie powtórzył Paweł Onufryjewicz, — więc pan Markiz tak z powstaniem trzyma?

— A z kimżebym ja trzymał, sprawniku, hę?... ja ci powiem, że i sam jesteś trochę miateżnik...

— Boże pomiłuj! ja!...

— Tak, tak, sprawniku, nie zapieraj się ty!... Za to com ci nagadał jużbyś mnie powinien zabrać i zawieść do Kamieńca pod sąd wojenny...

— Ja znaju szto eto wsio szutki!

— Szutki, szutki!... nie radzę ja w to wierzyć sprawniku, — śmiał się marszałek — za parę tygodni będzie i w naszej okolicy ciepło.

Von Fliders zastrzygł uszami.

— Za parę tygodni, — powtórzył czy Markiz wie to z pewnością?

— Lis z ciebie, kochany sprawniku, ale mnie nie podejdziesz. Cóż to? ja ci będę robił donosy?... Za kogoż to mnie masz?... Jabym prędzej zrobił donos do tych tam w Galicyi, którzy się tu wybierają, żeby się wybierali póki pora, póki wojska waszego nie ma. Bo co tu jest? Dwa bataliony piechoty i cztery sotnie kozaków... tak blizko granicy... to ma być siła! Gdybym ja był waszym dowódcą, tobym tutaj postawił najmniej cztery pułki, z pięćdziesiąt armat, bo to wasza achillesowa pięta, daję ci słowo Kettlerowskie, sprawniku, że to wasza achillesowa pięta. Granica źle strzeżona, między ludnością materyału palnego pełno, dość zapałkę przyłożyć a pożar będzie... daję ci na to słowo Kettlerowskie sprawniku! I nie gadałbym tego do ciebie, gdybym nie wiedział, że moja niedyskrecya na nic się wam nie przyda... kiedyście wy dotąd tego punktu jak się należy nie obsadzili, to znać, że ani ludzi, ani armat nie macie, a choćbyście mieli, to już jutro za późno... Te dwa bataliony i cztery sotnie czapkami zarzucimy, sprawniku, a z wami będzie bieda... aż do Nowogrodu i Wołogdy pędzić będziemy!...

— Szutki! szutki! panie markizie!

— Marszałkowskie słowo nie szutki... Wiesz co Fliders, mnie ciebie żal, bo ty dobry człowiek, choć Moskal. Więc dam ci radę... zbierz manatki i miej je w pogotowiu, a jakby się na co zanosiło, zmykaj do matuszki Moskwy. Żebyś miał na czem uciekać ja ci daruję konia z mojej stajni, którego chcesz, możesz sobie wybrać choćby dziś zaraz...

— Pan markiz daje mnie konia?

— Daję! jakem de Kettler!....

— Nu, tak ja zaraz siadam na niego i jadę do Kamieńca i proszę o audyencję u jewo prewoschoditelstwa i powiadam mu, żeby telegrafował do naczalstwa, żeby czetyre połka i piatdiesiat puszek przysłali do Achillesowej pięty.

— Widzisz, sprawniku, roześmiał się markiz — jak to ja Moskala znam na wylot.... Rozmawia niby w zaufaniu, bierze wziatkę i robi donos...! Ale na nic się to nie zdało.... jedź sobie i donoś... Naczalstwo puszek z rękawa nie wytrzęsie, to darmo!...

— Eto uwidim! panie markiz.

— No to załóż się ze mną o sto rubli za każdy batalion, który tu przyjdzie...

— Charaszo! konia biorę siejczas, a za każdy batalion po sto całkowych pozże... (później).

— Niech cię czart pożre, przeklęty Moskalu, jeżeli z tego chociaż karbowanca zobaczysz! — zawołał niby z gniewem, niby dobrodusznie markiz, podczas gdy Paweł Onufryjewicz kładł rękawiczki i zabierał się do wyjścia, — choćby was zresztą tutaj nie cztery, ale czterdzieści pułków przyszło, to was wytępimy do nogi, jeden nawet na nasienie nie pozostanie, chyba ty Flieders, jeżeli na czas uciekniesz na mojej szkapie... Możesz nawet powiedzieć jenerał-gubernatorowi, że to ja markiz Kettler dałem na to moje słowo... może mnie za to kazać wywieźć na Sybir, jak mego kuzyna rotmistrza...

Paweł Onufryjewicz znacząco mrugnął oczyma.

— A jeśli przedstawi do orderu?

Markiz dotąd wesoły i jowialny nawet spoważniał nagle.

— Słuchaj, Fliders, — zawołał — tylko bez głupstw? Order! order!... czy ty rozumiesz, co to teraz order?...

— Nie bezpakojteś! ja szutił, odpowiedział czynownik, a pożegnawszy ukłonem markiza pobiegł do stajni wybierać wierzchowca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

— Jania pojedzie naturalnie z nami — dodała lady Marstone — będzie ona dla ciebie miłą towarzyszką, Helenko!

Młoda kobieta smutnie spojrzała na matkę. Czyż wszyscy byli zaślepieni?

— Tak – rzekła — Jania musi też jechać, będzie nam to bardzo pożądanem.

Nikt nie odczuł goryczy, jaką słowa jej zawierały. Lord Chesley nie przeczuwał, że Helenka znała tajemnicę jego serca i że największą dla niej męczarnią było patrzeć na nich, gdy rozmawiali ze sobą. A ona biedna myślała ciągle o tem, jak szczęśliwymi byliby, gdyby umarła!

Podróż nie interesowała Helenki wcale i nie brała żadnego udziału w rozmaitych przygotowaniach. Czemu rodzice chcieli koniecznie wzmocnić jej zdrowie, jeżeli pragnęła śmierci, aby Artur i Janina mogli się połączyć! I gdyby w tych ciężkich chwilach nie była miała swej dzieciny, to kto wie, czy siły jej nie byłyby zupełnie upadły. Życie wszelki dla niej straciło urok — nic jej nie zajmowało, nie bawiło, oprócz maluchnej Stelli, która z każdym nieomal dniem stawała się milszą i rozkoszniejszą.

Sir John zaproponował stały pobyt w Neapolu i kazał tamże wynająć całą wilę dla swej rodziny. Z Neapolu zamierzano robić rozmaite bliższe i dalsze wycieczki w okolicę. Wszyscy używali z przyjemnością tej podróży, z wyjątkiem Helenki. Cóż jej biednej zależało na tem, czy oczy jej spoczywały na przepysznych krajobrazach, czy niebo było błękitne i czy kwiaty wonialy? Serce jej było przepełnione boleścią, bo nie miała tego, co jej było najdroższem, to jest miłości męża! Od chwili, w której to poznała, nic już nie mogło jej ani rozweselić, ani pocieszyć.

Mieszkanie w Neapolu wspaniale było urządzone — z okien piękny roztaczał się widok na Wezuwiusz, na szafirowe morze i na wyspy Ischia i Capri, ale ona nic nie widziała i niczem się nie zajmowała. Jedyna wielka namiętność zasłaniała jej cały świat i wszystkie jego uroki. I dopóki chęć śmierci była największem jej życzeniem, dopóty nie było nadziei, że cośkolwiekbądź w świecie może ją interesować.

Po kilkutygodniowym pobycie w Neapolu napisała lady Marstone do lekarza, że zdrowie Helenki wcale się jeszcze nie polepszyło i że przeciwnie, chora ma się gorzej.

Lord Chesley zauważył to także, był jednak przekonanym, że wszystko zmieni się wkrótce, i że Helenka po doznanym zawodzie odzyska wnet dawniejszą wesołość i swobodę. Wszakże on cierpiał więcej, a pomimo to był spokojnym, i znosił w milczeniu swoje przeznaczenie. Nie przeczuwał wcale, jak bardzo go Helenka kochała!

Raz, gdy oboje byli w wielkiej galeryi obrazów, podpadł im wielki piękny obraz, przedstawiający Amona, patrzącego ponuro na Mardocheusza, siedzącego przy drzwiach jego pałacu.

— Jak nierozsądnymi są często ludzie, — rzekł Artur. — Spojrzyj tylko Helenko na tego Amona. Posiada on wszystko, czego serce jego pragnie, majątki, zaszczyty, łaskę króla, ale nic nie sprawia mu przyjemności, bo mu w drodze jest Mardocheusz!

— Ach, to się często zdarza — zauważyła Helenka — że niejedno niespełnione życzenie zatruwa całe życie.

— Więc podług twego zdania ma każdy swego Mardocheusza?

— Tak! Ludzie pragną zawsze czegoś, co im jest niedościgłem.

— Dziwna myśl! Mówisz tak, jak gdybyś....

— Jak gdybym i ja miała jakieś niespełnione życzenie, — przerwała, rumieniąc się. — Tak! Najwyższe szczęście nie dostało mi się w udziale, a tem jest: miłość mego męża!

Artur chciał odpowiedzieć, ale Helenka żywo poruszyła ręką.

— Nie mów nic, — dodała — są rzeczy, na które odpowiadać nie można. Pójdź, obejrzymy sobie tę statuę Galatei, nie znasz jej dotąd; a twórcą jej sławny jest rzeźbiarz!

— Helenko! — zawołał Artur po chwili, gdy się dokładnie przyjrzał marmurowemu arcydziełu, — statua Galatei przypomina mi ciebie! Linia szyi zupełnie taka sama i kształt głowy również!

— Jestem ci wdzięczną za ten komplement. Wolałabym być ową marmurową figurą, niż mojem żywem „ja".

Słowa te wielką Arturowi sprawiły przykrość. Gdyby go się dziś kto zapytał, czy kocha żonę, to byłby musiał otwarcie przyznać, że w ostatnim czasie stała się bliższą sercu jego, niż w początku swego małżeństwa uważał to za możliwe. Nie był czułym dla niej, miłości jego nie posiadała, ale lubił ją bardzo i obecność jej była mu niezbędną. Wielka ich miłość dla dziecka była silnym węzłem, łączącym ich serca. Helenka jednak i tego uznać nie chciała, odpychając wszystko, co mogło ulżyć jej rozpaczy. Unikała męża, nie wychodziła z nim ani nie wyjeżdżała na przechadzki, będąc pewną, że obecność jej wcale mu nie jest pożądaną. Im więcej zaś odsuwała się od niego, tem większą stawała się miłość jej do dziecka. Sama już nawet nie wiedziała teraz, jak uczucie to wiązało ją do życia i przepełniło całą jej istotę.

Lady Marstone niepokoiła się coraz to bardziej zdrowiem córki i napisała raz jeszcze do lekarza, który zawsze tę samą powtarzał radę: podróżowanie i ciągłą zmianę miejsca pobytu.

— Ależ jak jej to powiedzieć? — mówiła nieszczęśliwa matka do Janiny. — Ile razy proszę, aby wyjechała na godzinę lub dwie, patrzy na mnie smutnie i twierdzi, że jest zmęczona.

— A pomimo to sądzę, że obowiązkiem naszym jest wypełnić żądanie doktora! Możeby się zgodziła na małą wycieczkę na morzu? Stella mogłaby tu zostać pod twoją opieką, ciotko!

Helenka zgodziła się rzeczywiście na tę propozycyę, nie chciała się tylko rozłączać z dzieckiem, i dopiero gdy jej zaręczono, że dłuższy pobyt nad morzem zaszkodziłby małej, przystała na życzenie rodziców i męża.

Postanowiono więc pojechać z Neapolu na Sycylią. Lord Chesley pragnął zwiedzić Palermo, Janina tum i grób świętej Rozalji, Helenka zatem nie opierała się ich życzeniom. Potem zamierzali się udać do Afryki i zobaczyć Tunis oraz ruiny starożytnej Kartaginy.

Sir John wypracował im cały plan podróży, a gdy zajechał powóz, mający ich zawieść do portu, wręczył Helence kosztowny, czerwony szal rzymski. Młoda kobieta wzruszona, zaczęła głośno płakać.

— No i cóż Helenko — zawołał sir John, — czy obawiasz się morza?

— Ach nie, strachu nie mam — odrzekła — ale myśl rozłączenia się z wami jest mi okropną.

Pożegnała się potem serdecznie z rodzicami i z córeczką, którą nieustannie przyciskała do serca, obsypując twarz i rączki dzieciny gorącemi pocałunkami.

Dlaczego wysyłano ją w tę podróż? Pomódz przecież nie mogło jej nic! Helenka prosiła matki, aby pozwoliła Janinie także jechać, chcąc jej tym sposobem wynagrodzić cierpienie serca. Jeżeli była winną, że Artur i Janina nie mogli do siebie należeć, to teraz było jej obowiązkiem dać im przynajmniej sposobność jak najczęstszego widywania się. Nie wiedziała, że sprawia im to większą męczarnią i że oboje, będąc sami nie zamieniali z sobą ani jednego słowa.

W najpiękniejszej pogodzie wypłynął mały parowiec „villa Rocca" z zatoki. Niebieskie morze leżało cicho i spokojnie jak zwierciadło, a promienie słońca igrały złotym blaskiem na powierzchni morza. Zwolna oddalały się wybrzeża z przed oczu podróżnych i wkrótce znikło wszystko, jak gdyby — na zawsze.

Lord Chesley stał z żoną i Janiną na pokładzie, oddychając z rozkoszą świeżem morskiem powietrzem. Janina odczuwała żywo całą przyjemność podróży, podczas kiedy Helenka, smutnie zamyślona, wpatrywała się milcząc w modrą głęboką wodę.

I znowu, jak widzenie, przesunęła jej się myśl, jak i co byłoby, gdyby teraz umarła. Rodzice byliby w rozpaczy, zapewne, ale przestaliby się raz już niepokoić o nią, Janina i Artur żałowaliby jej także, ale pocieszyliby się wnet i po ukończeniu roku żałoby mogliby się połączyć. Wspominaliby ją nieraz i opiekowaliby się starannie jej dzieckiem. Dziecko! Na myśl o niem ścisnęło się serce nieszczęśliwej okrutnym bólem. Nie, dziecka, swego skarbu najdroższego, nie odda im, pod żadnym warunkiem!

W tejże chwili zbliżyła się Janina i położyła lekko rękę na ramieniu Helenki.

— Co ci jest, kochanie? zapytała serdecznie. Wyglądasz tak smutnie, tak rozpaczliwie, co ci się stało? Przyrzekłam twej matce, że będę czuwać nad tobą. Powiedz mi, co cię gnębi?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nekrologia.

Śp. profesor Ludwik Jakowicki zmarł w mieście naszem dnia 26-go z. m. w wieku przeszło 80 lat. Zmarły był profesorem w gimnazyum trzemeszeńskiem, a po zamknięciu tegoż w roku 1863-cim przeniesiony został do gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, zkąd go wysłano „w interesie służby“ na obczyznę. Po wzięciu emerytury całe swoje siły oddał na usługi Towarzystwa Pomocy Naukowej imienia dra Karola Marcinkowskiego, w którem niemal do końca życia pełnił z gorliwością obowiązki jeneralnego sekretarza. Cześć Jego zacnej pamięci!

* * *

Śp. ksiądz proboszcz Michnikowski zmarł w Pleszewie dnia 25-go z. m. w 68-ym roku życia. Zmarły cieszył się wielkiem poważaniem nietylko wśród swoich, ale nawet wśród innowierców. R. i p.

* * *

Sp. ks. Józef Wegner, emerytowany proboszcz zmarł dnia 26-go z. m. w Lubawie, w Prusach Zachodnich, w 75-tym roku życia, a 45-tym kapłaństwa. R. i. p.

* * *

Dnia 25-go z. m. zmarł po długiej chorobie **ks. Karol Zarzecki,** proboszcz w W. Łąsku, w 71. roku życia a 41. roku kapłaństwa. R. i p.

* * *

S. p. Augustyn Kotliński,

emerytowany profesor gimnazyum ostrowskiego, zmarł dnia 31-go z. m. w 78-ym roku życia w Pleszewie, dokąd się przeniósł po złożeniu urzędu swego. Nieboszczyk należał do rzędu owych starszych nauczycieli polskich, którzy sprawiedliwością i łagodnością umieli sobie zaskarbić szacunek i wdzięczność uczniów. Był on bardzo zdatnym pedagogiem i dobrym synem kraju, dla którego serce jego zawsze gorąco biło. R. i. p.

* * *

Dnia 29-go z. m. umarł w mieście naszem, znany obywatel tutejszy **ś. p. Wiktor Donnar,** fabrykant kapeluszy. Z pochodzenia Francuz, zżył się z naszem społeczeństwem i władał biegle językiem polskim. Pojął też Polkę za żonę. Była to bardzo sympatyczna osobistość. R. i. p.

* * *

Sp. Franciszek Krajewicz

zakończył życie dnia 2-go b. m. wieczorem w mieście naszem, skończywszy 70 lat życia.

Zmarły był długie lata nauczycielem na prowincyi, poczem przeniósł się do Poznania, gdzie pracował kolejno po rozmaitych redakcyach.

Jest on autorem rozpowszechnionego Elementarza z Aniołkiem, który wydał razem z swym już także zmarłym kolegą Modrzyńskim.

Elementarz ten uchodzi jeszcze dzisiaj za najlepszy. Napisał także kilka broszurek jak, „O lichwie“, „O nierzetelnej konkurencyi“ itd.

Wieczny spokój Jego duszy!

Dzisiejszy numer „Pracy“ jest drugim w bieżącym kwartale, więc

czas największy zapisać

„PRACĘ“

na bieżący kwartał.

Numera zaległe jest zobowiązana poczta dostarczyć każdemu nowo przybyłemu abonentowi.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z **Poznania.**

Już wielkanocny numer „Pracy“, pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, a mianowicie wydanie specyalnego numeru Sienkiewicza, przeniesie znacznie wartość całkowitego abonamentu.

Numer Sienkiewicza otrzyma każdy abonent w swoim czasie bez reklamacyi i to krótko po Świętach.

Kwit abonamentowy na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczony jest w dziale ogłoszeń niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

Kalendarz Maryański

albo też ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma kilka ładnych książek.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

Bibliotecezkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnią Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austryi 30 centów,

a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.

Kto raz „Czytelnią Polską zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

co tydzień

we formacie książki w objętości 16 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału więc każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy więc, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innemi *„Czytelnia Polska“ będzie miała jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może i czytać powinno!*

Pierwszą seryę „Czytelni Polskiej“ rozpoczęliśmy

obchodem jubileuszowym

naszego wielkiego pisarza — t. j. drukiem „Nowel Sienkiewicza“, z podaniem tegoż fotografii i odnośnem streszczeniem życiorysu.

„Czytelnia Polska“ zamieszczać będzie

w każdym numerze

piękne illustracye

z objaśniającym tekstem.

Przy każdem rozpoczęciu druku jakiegokolwiekbądź utworu w „Czytelni Polskiej“ podamy zawsze fotografią autora wraz z objaśniającym tekstem. Wskutek tego przyczyni się „Czytelnia Polska“ do zaznajomienia szerszego ogółu czytelników z naszymi pisarzami.

Prosimy zażądać numera okazowe Czytelni Polskiej, które nadeślemy natychmiast gratis i franko.

Kwit abonamentowy na „Czytelnią Polską“ zamieszczony jest w dziale ogłoszeń niniejszego nr. „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 50 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu, a dostarczy poczta wszystkie numera zaległe.

Wiadomości.

Odezwę Komitetu gnieźnieńskiego w sprawie jubileuszu zasłużonego bardzo naszego wielkopolskiego literata, p. Chociszewskiego, zniewoleni byliśmy odłożyć dla braku miejsca do następnego numeru.

Teatr. Benefis p. Święckiej nadzwyczajne miał powodzenie. Teatr był całkiem zapełniony, a nawet krzeseł w orkiestrze zapożyczyć musiano. Wybór był też bardzo szczęśliwy. Grano słynną komedyę Wiktora Sardou „Madame Sans Gêne“, która wszystkie większe sceny Europy obiegła. Benefisantka odtworzyła postać praczki a późniejszej marszałkowej i księżnej gdańskiej Lefêbre znakomicie. Całość była bardzo udatna, a publiczność rzęsistemi oklaskami po kilkakroć wyrażała swe zadowolenie. Benefisantkę obdarzono pięknym koszykiem kwiatów i kilku bukietami. Wystawa była wspaniała.

Zwracamy uwagę na ogłoszenie w dziale inseratowym pana Kasprowicza w Gnieźnie, którego fabryka likierów i wódek zyskała głośne imię nie tylko we wszystkich krajach europejskich, ale także i za dalekiemi morzami.

Egzamina. Dnia 23 z. m. odbył się w tutejszem gimnazyum Bergera egzamin uprawniający do służby jednorocznej. Z 28 kandydatów złożyło go 24, pomiędzy nimi 10 Polaków, i to pp: Burdajewicz Antoni, Jerzycki Edmund, Jerzycki Zygmunt, Kolkiewicz Wacław, Rakowski Seweryn, Stanisz Teofil, Sławski Czesław, Lison Stanisław, Drygas Bronisław, Przybylski Wacław. Dla dobrych prac piśmiennych uwolniono pierwszych 7 od egzaminu ustnego.

Trzemeszno. Folwark p. Nalewaja w Zielinie tuż przy mieście, kupił poznański Bank Parcelacyjny, na Piekarach swoje biuro mający, a z pewnością z łatwością parcelacyą przeprowadzi i to w krótkim czasie. Nadmieniam jeszcze, że, jak się z ust samego p. Nalewaja dowiedziałem, kilku już się koło niego kręciło, aby celem parcelacyi jego folwark nabyć — lecz, ponieważ warunki stawiane były zbyt niekorzystne dla niego, nie mógł na sprzedaż reflektować — ten Bank mu wszystko gotówką zapłacił.

Kostrzyn. Rodak nasz p. Stefan Szymanowski założył w mieście naszem na Sredzkiej ulicy warsztat i otwarty magazyn obuwia wszelkiego rodzaju. Zatem baczność Kostrzyniacy i okolica, popierajcie swojski przemysł!

Ostrów. W mieście naszem mógłby fachowo wykształcony kupiec galanteryjnik świetny zrobić interes. Doskonale zaprowadzony w tej branży interes jest do nabycia wraz z domem na pryncypalnem miejscu — dom doskonale budowany, piękny, duży — wszystko za przystępną cenę. Trzeba naturalnie mieć kilka tysięcy talarów do dyspozycyi. Reflektant niech się zgłosi do biura „Pracy“.

Od Redakcyi.

Panu Dr. T. w Berlinie. Dziękujemy najuprzejmiej. „Czytelnia Polska“ zapisana jest na poczcie w cenniku gazet p. t. „Nachtrag 5 t. 13 a“.

Wielebnemu Ks. Z. w O. Oddaliśmy list autorowi odnośnych artykułów. Co do inseratu p. B. K., to kliszę sporządzono z owym fatalnym błędem, więc nie nasza w tem wina.

Panu Romanowi Fr. w Frellstedt. Adresuj Pan tak: „Księgarnia polska (Tempłowicz) w Poznaniu, hotel Francuzki (Posen)“ i poproś Pan o nadesłanie wiadomej książki. My wobec nawału pracy takich spraw załatwiać nie możemy.

Panu A. M. w Lipsku. Zgłoś się Pan w tej sprawie po informacye do „Wiarusa Polskiego“ w Bochum.

Panu S. K. w Reiherstieg. Wiersz taki jest umieszczony w nr. 10-ym „Pracy“ z r. b.

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni
„VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę w swoje papierosy i tureckie tytunie, które na wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 54

Błogosławione posłannictwo spełnił **„Javol“** w krótkim czasie swego istnienia. Wszelkie środki zastósowywane oddawna nie osięgnęły zamierzonego skutku, dopiero w ostatnim czasie doznał ogólnego uznania kosmetyk **„Javol“**, wynaleziony przez fabrykanta Wilh. Anhalta w Kołobrzegu w Pomeranii. **„Javol“** jest t. zw. „nafta-preparatem“ z domieszką pewnej ilości wyskoków roślinnych, działających bardzo skutecznie na porost włosów; środek ten jest zupełnie nieszkodliwy, przeto polecić go możemy każdemu, komu zależy na pielęgnacyi włosów.



Najbliższe ciągnienie
Pilska loterya na konie po 1 M.
11 losów 10,00 Porto i lista 20 fen. extra.
Główna wygrana:
4-ro konny ekwipaż,
3 dwu konne ekwipaże
1 jedno kony ekwipaż
40 koni do jazdy i powozu
Tych 51 koni
będzie zakupionych w dniach 26 i 27 kwietnia na luksusowym jarmarku końskim.
Dalsze wygrane: 5 kołowców, 2 zastawy srebrne po 1000 M. wartości, i nadto wiele wartościowych i łatwo mogących być pozbytych wygranych, razem 22 7 wygranych w ogólnej wartości
75,000 M.
Losy wszędzie do nabycia i w generalnej Agenturze: 215
Interes bankowy
Lud. Müller & Co.
Berlin, Breitestr. 5.

Zwłaszcza dwory nasze powinny „Czytelnią Polską“ abonować po kilkadziesiąt egzemplarzy dla swego ludu roboczego.

Ażeby święconkę dobrze strawić

nie zapomnijcie zaopatrzyć się w prawdziwe,
a sławnie przyządzane wódki
B. KASPROWICZA w Gnieźnie
które są w wszystkich odnośnych handlach do nabycia.

Wspierajmy przemysł ojczysty!
Buduję nowe ołtarze,
przerabiam i odnawiam stare, wykonywam roboty **mozajkowe i prasowane stucco-lustro,** oraz i
stacye Męki Pańskiej,
słowem zajmuję się całkowitem **upiększeniem kościołów i kaplic.**
Marcin Piotrowski,
Poznań,
ulica Wrocławska nr. 8.

Ucznia
syna uczciwych rodziców, poszukuje firma 225
St. Cieśliński,
właśc. L. Linetty w Odolanowie
skład książek szkolnych i do nabożeństwa, oraz wszelkich artykułów piśmiennych, handel kolonialny i krótkiego żelaza i t. d. i t. d.

Krawiec
doskonały, porządny z lepszem wykształceniem szkólnem który ma zamiar w kupiectwie i kroju wydoskonalić się znajdzie dobre i stałe miejsce.
M. F. Orłowski,
skład garderoby.
Król. Huta (Königshütte O/S.

Młodym kupcom, którzy mają chęć osiedlić się!
Handel towarów krótkich, galanteryjnych, trykotaży, płócien, wszelkich artykułów męzkich założony zeszłego roku w Październiku, dobrze zaprowadzony, ze stałemi cenami, lokal obszerny, który się nadaje ze względu na miejscowość do urządzenia **domu towarowego,** w mieście liczącem 12 tysięcy mieszkańców, jest z powodu nagłej zmiany w stosunkach famil. zaraz do przejęcia. Zgłoszenia do Eksp. „Pracy“ pod lit. W. Z. Nr. 206.

Południowo-niemieckie Towarzystwo zabezpieczenia od ognia w Monachium (kapitał zakładowy 6 000 000 m.) przyjmuje *zabezpieczenia od ognia, także zabezpieczenia od szkody powstałej przez ciężką kradzież, oraz zabezpieczenia od szkła* pod *korzystnemi* warunkami. Bliższych informacyi udziela **A. Szmytkiewicz,** agent, były przełożony biura, zamieszkały od 1-go b. m. w domu p. **Boreckiego we Wrześni.** 2 6